

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

B. Felicyan tłumaczył z angielskiego

3

(Ciąg dalszy).

— Otóż zdaje mi się, że panna Brown jest cokolwiek skryta, sztywna, a przytem posiada coś w swoim charakterze, co by może zuchwałością nazwać można.

— Dodaj pan jeszcze, że jest przebiegła, i jak to mówią kuta na cztery nogi.

— Rzeczywiście, trafna uwaga, zdaje mi się, że właśnie tem, co pan przebiegłością nazwał, zyskała sobie wpływ na panią Durand.

— Dajmy spokój już tym paniom, a teraz powiedz mi pan jeszcze raz, czy mogę liczyć na to, że pan mego *incognito* nigdzie nie zdradziłeś.

— Zapewniam najuroczyściej. Nie jestem świętym człowiekiem, to prawda, ale niewdzięcznikiem nie byłem nigdy.

— Więc pan jeszcze pamięta o swej przygodzie w Bostonie?

— I o przygodzie pamiętam i o tym, który mię z największego niebezpieczeństwa wybawił.

— Bostońskie doświadczenie powinno być dla pana być przestrożą na całe życie — rzekł Stuart znacząco.

— O, tak, tak — odpowiedział Artevelde, jakby chciał przerwać rozmowę. — Ale teraz służę pann. chyba pojedziemy.

Trudno chyba spotkać dwóch znajomych o tak sprzecznych charakterach, jak Stuart i Artevelde. Jeden energiczny, rzutny, pojmujący życie i jego obowiązki poważnie i aczciwie, drugi płytki, gnuśny lekkomyślnik, żyjący z dnia na dzień, bez celu, a jednak Artevelde szukał towarzysztwa Sturta, a Stuart nie usuwał się od niego. Przypadek sprawił, że się poznali.

Artevelde pojechał raz do Bostonu, gdzie wpadł w szajkę oszustów, którzy go zwabili do nory szulerkiej, najgorszej kategorii. Gdy już wszystkie pieniądze od niego wygrali, oczywiście fałszywymi kartami, spili go i już zamierzali ze wszystkich kosztowności obrabować, jakie miał przy sobie, gdy nagle zjawiła się zbrojna policja pod przewodnictwem Sturta, dawno już śledzącego ową bandę i uwolniła Artevelde. Stuart zaopiekował się nim i zwróciwszy mu pieniądze przez szulerów zagrabione, wyprawił go do domu.

W kilka miesięcy po tem, spotkał Artevelde swojego wybawcę na ulicy w Chicago, poznał go natychmiast, zaprosił do swej matki. Pani Artevelde, wdzięczna za przysługę wyświadczoną synowi, ofiarowała Stuartowi gościnę w swym domu z taką uprzejmością, że odmówić nie wypadało i przez kilka tygodni z niej korzystał. Poznawszy Artevelde dokładnie, widząc jego lekkomyślność niepoprawną, uważał za właściwe podziękować za gościnność, zwłaszcza, że zażyłe stosunki Artevelde z Fergussem nasuwały mu różne przypuszczenia.

Gdy Stuart z Arteveldem do Willi Durandów jechali, siedziała panna Durand w swoim buduarze przed ogromnem zwierciadłem i czyniła przegląd swych wdzięków i swego stroju.

Dziedziczka milionera mogła liczyć około dwudziestu lat; była wzrostu małego, co atoli nie umniejszało jej piękności, bo figurę miała zgrabną. Złociste blond włosy zaczesywała oryginalnie i z wielkim wdziękiem, chociaż figura była jakby wymuszona, jakby sceniczna. Te jasne włosy dziwnie odbijały od ciemnych oczu, mających oprawę tak niezwykłą, że musiały zwracać na siebie uwagę, choćby nawet najobojętniejszych. Cera twarzy miała bardzo delikatną, pięknie zabarwioną, jakby się tam białe liłe z różami mieszały. Umiała też ubierać się do twarzy i strojem dodawać sobie jeszcze wdzięku i uroku.

Laura z zadowoleniem wpatrywała się w zwierciadło, gdy drzwi się otworzyły i weszła panna Brown.

— Przyszedł Artevelde ze swym przyjacielem.

— A cóż to za przyjaciel? — spytała Laura z kapryśnem lekceważeniem.

— Zobaczysz go sama.

— A ty go nie znasz?

— Tak znam go, ale tylko z nazwiska. Nazywa się Stuart.

— Ktoż to jest ten pan Stuart?

— Jakto? nie wiesz o tem? To dziwne.

— Dlaczego?

— Wszakże to głośny agent policyjny.

Na te słowa Laura zadrżała, ale opanowała się prędko. Mimo tego panna Brown uśmiechnęła się ironicznie i szyderczo spojrzała na Laurę.

— A skądże wiesz o tem? Gdzieś go spotkała lub poznała? — rzekła Laura również z odcieniem ironii.

— To obojętne, dosyć że wiem, iż to agent policyjny, a do tego ma sławę najznakomitszego we wszystkich stanach Ameryki. Dotychczas nie uszedł mu żaden zbrodniarz; ma być tak zręczny — mówiła panna Brown z dziwnym naciśkiem — że nawet z oczu umie wszystko wyczytać, a nawet z barwy włosów.

Laura ponownie drgnęła, lecz jakby żartując zapytała:

— Czy o tem wiesz z własnego doświadczenia?

— O tyle, że gdy byłem w New Yorku aktorką, Stuart przyszedł za kulisy i aresztował wychodzącego już na scenę aktora, poznawszy go pomimo tego, że sobie włosy z ciemnych na jasne nfarbował. Dodam jeszcze, że ten Stuart to śliczny chłopiec.

— Istotnie? Wywarł na tobie wrażenie?

— O, spodoba ci się niezawodnie.

— A więc chodźmy do salonu.

V.

Ciekawe listy.

Dość późnym wieczorem wrócił Stuart od Durandów i zaraz zabrał się do spisywania notatek, jak to każdego dnia czynił.

„Nie doznawałem nigdy jeszcze takich wątpliwości, jak teraz. Pierwsze podejrzenia zaczynają mi się zupełnie rozwiewać. Czy to możliwe, żeby ona ukradła? Uważałem, że ją oboje Durandowie niemal ubóstwiają, że jej niczego nie szczędzą, więc jakże byłby powód do kradzieży? Przy tem ta piękna twarz wydaje się tak szlachetną, że niepodobna wyobrazić sobie nikczemnej duszy ukrytej w takiej piękności. Można by przecież dopatrzeć się jakiegoś zaniepokojenia w jej obejściu wobec tego, że sprawą kradzieży zajęła się już policja; a ona taka była swobodna, taka ożywiona, a jaka miła, ile tam wdzięku w tej osobie. To ciekawe, że w obecności Artevelde obdarzała mnie takimi spojrzeniami i tak bardzo starała się ująć, jakby jej na nim nic nie zależało. A przecież wiem od Duranda, że go kocha i pragnie wyjść za niego za mąż. Albo naiwność, albo najzręczniejsza przebiegłość.

„Na każdy sposób trzeba mieć się na baczności, tembardziej, że między dwiema temi dziewczętami istnieje jakaś tajemnica.”

„Dostrzegłem, jak się porozumiewały spojrzeniami, a szczególnie w owej chwili, kiedy dałem umówiony znak Durandowi do mówienia o kradzieży. Opowiadanie Duranda nie wywarło najmniejszego wrażenia na Laurze, słuchała go jakby z odcieniem jakiegoś znudzenia, po czem spojrzała na swoją towarzyszkę tak, jakby jej wzrokiem zapytywała, czy się dobrze udało.

„Takie i tym podobne spojrzenia trzeba mieć chwytać i rozumieć. Nie myślę się, że je dobrze pochwyliłem i zrozumiałem. Nie będę już teraz o tem myślał, niech się rzecz odleży. Z dalszej perspektywy, po upływie 24 godzin sprawa mi się jaśniej przedstawi.”

Odłożywszy notatki zabrał się do przeglądania znalezionej przy rannej kobiecie portfeli.

Był bardzo elegancki, kosztowny, zaopatrzony w monogram J. B. Były tam listy, rachunki, pokwitowania. Oczywiście, że przedewszystkiem zwrócił uwagę na listy, pisane ręką kobietą. Pismo było piękne, wyrobione, czytelne. Prawie wszystkie były adresowane do jakiegoś Jasona Bradwardine, ale były bez podpisu. Stuart uporządkował je według dat i czytał Pierwszy list opiewał:

„Mój zacny przyjacielu! Z tego zakątka, który tu w Niemczech znalazłem zwracam się do pana z najgłębszą wdzięcznością. Istotnie, że mi brak słów na wyrażenie panu tego, co czuję. Od tych strasznych prześladowań, oszczerstw, intryg, które mi scigano mielitościwie, uwolniłeś mi pan i zapewniłeś mi spokój. Moja dziecina rośnie zdrowo i w niej całe moje szczęście. Potem co mi pan doniósł, że czują na jej życie, żyje w ciągłym niepokoju. Boże! Gdyby ona wpadła w ich ręce! Myśl o tem wytrąca mi pióro z ręki.”

Ten list był pisany przed piętnastą laty. Stuart zaciekawiony jego treścią, zamyslił się, oparłszy swoim zwyczajem głowę na dłoniach, a po chwili zabrał się do czytania następnego listu:

„Mój najlepszy przyjacielu! Wybacz, że nie usłucham twej rady nie pozostanę tu dłużej. Ciągła obawa o dziecko tak mi przygnębia, że niekiedy lękam się obłąkania. Nasuwa mi się doskonała sposobność porzucenia Europy, w towarzystwie bardzo zacnej kobiety, która w tych dniach do Ameryki odpływa. Tam za Oceanem będę spokojniejszą, może ręka moich prześladowców tam mi dziecka nie dosięgnie. Proszę do mnie teraz nie pisać, bo w chwili gdy pan ten list czytać będziesz, my prawdopodobnie będziemy się znajdowały na pełnem morzu. Gdy do Ameryki przybędę i wyszukam sobie jakiś zakątek, natychmiast do pana napiszę i adres mój podam. Ponownie proszę o wybaczenie, że bez wiedzy pańskiej wyjeżdżam i wbrew pańskim radom.”

Trzeci list z rzędu opiewał:

„Mój jedyny, najlepszy przyjacielu! Sześć miesięcy upłynęło od ostatniego mojego listu. Nie sądzę pan, że zapomniałam o tobie, szlachetny dobroczyńco mojego dziecka. Nie pisałam, bo byłam ciężko chora przez trzy miesiące. Możesz sobie pan wyobrazić, co się wtedy z mną działo na myśl, że mogę teraz umrzeć i moją dziecinę zostawić bez żadnej opieki. Bóg ulitował się nad tą biedną sierotą i zachował jej matkę. Wyzdrowiałam szczęśliwie, wyszukałam sobie miłe i korzystne zajęcie i bardzo mi tu błogo, bo spokojnie. Przebywam tu pod przybranem nazwiskiem i dla bezpieczeństwa od prześladowców i dla tego, że tu w Ameryce ludzie nie zwykli posługiwać się szlacheckimi tytułami. Pisz pan do mnie pod adresem: Pani Bruns, Buchthal obok New Yorku.

Czwarty list z rzędu, pisany w cztery miesiące po trzecim, był zdumiewający:

„Nikczemny oszuście! Przejrzałam cię wreszcie, poznałam cały ogrom twojej bezczelności. Pogardzam tobą, jak tylko może pogardzać obrażona kobieta i kochająca matka takim, jak pan nikczemnikiem. Chciałeś mię ująć brudnymi pochlebstwami, aby uspić moją czujność i zabrać mi dziecko. Dziś byłabym zdolną jak tygrysica rzucić się na ciebie w obronie mego dziecięcia. Przejrzałam dokładnie pańskie chytne plany. Siegasz po miliony, a wydaje ci się, że moje dziecko zagradza ci ku nim drogę. Milionów dla dziecka nie potrzebuje, tylko jego spokojnego życia i szczęścia. Już mnie nie dosięgniesz nikczemuiku, bo jeszcze tej samej nocy opuszczam moją siedzibę i tak się z dzieckiem ukryję przed tobą, że nas nie znajdziesz. Ale ty mój panie pierwszej lub później doznasz mojej zemsty. Strzeż się panie Jason Bradwardine!”

— A, to nowy temat — pomyślał Stuart. — Nie spodziewałem się, że przybywszy tu *incognito* do Chicago, będę miał tyle nrozmaiceń. Skąd się wziął ten portfel u zranionej kobiety? Czyżby ów morderca był owym Bradwardine? Ależ byłby to prawdziwy głupiec. Jakże można takie listy przy sobie nosić? A może ten portfel miała owa pani Thomson i morderca po to właśnie przybył aby go odebrać? Na każdy sposób trzeba tego dociec. Jocelyn śledzi jakiegoś londyńskiego urwipolcia, więc może te listy mu się przydadzą?

Zaużony, położył się Stuart spać, a następnego dnia udał się wczesną rano do kawiarni, aby przeprzeć najświeższe dzienniki. Interesowały go najbardziej inseraty i kronika dziennych wydarzeń. W inseratach wyczytał nasępujące ogłoszenie:

„Poszukuje się kobiety biegłej w pełnieniu obowiązków agenta policyjnego, nie należącej do żadnego biura, znającej dokładnie całe miasto. Oferty przyjmuje X X w agencji „Trybuna”.

Przeczytawszy ten inserat zaczął sobie Stuart gwizdać pod nosem.

— Hm, hm. Warto o tem pomyśleć. Takie ogłoszenia bywają u nas dość rzadkie. Tutaj wszyscy wiedzą, w jaki sposób szukać kobiecych agentów. Inseratem posłużył się chyba jakiś cudzoziemiec, który przybył niedawno z Europy i chciałby znaleźć kogoś, kto się przed nim ukrywa. A gdyby też to był może ów Bradwardine, szukający tej matki, która się tu z dzieckiem schroniła? Ba! ależ to już temn lat kilkanaście! No, ktoś przecie pośle mu ofertę.

Tak myśląc wyszedł Stuart z kawiarni i wrócił do domu.

W godzinę potem zatrzymał się jakiś młody, przyjemny człowiek przed owym domem, w którym zraniono p. Thomson i widocznie czekał tu na kogoś. Właśnie wyszedł z bramy Dr. Rice, ów lekarz, który ranną pielęgnował.

Młody człowiek zbliżył się do niego z uprzejmym ukłonem i rzekł niesmiało:

— Czy mam zaszczyt mówić z panem doktorem Rice?